

Wprowadzenie

Kłopot, jaki sprawia skomponowanie tekstu autobiograficznego, polega na tym, że wymaga ono połączenia subiektywnej relacji o tym, co intymne, z obiektywnym opisem drogi życia oraz pozostawionych na niej śladów. Hybrydy rzadko bywają udane. Dlatego, szukając odpowiedniego ujęcia, zdecydowałem się na rozpoczęcie narracji od początków mojego życia. Mam nadzieję, że tak ujęty opis będzie miał swoją wartość, wskazując na związek między mną a tym, co kształtowało mnie i co stało się moim ja.

Dzieciństwo (25 lipca 1931–13 kwietnia 1940)

Wołożyn

Urodziłem się 25 lipca 1931 roku w Wołożynie, w województwie nowogródzkim.

„Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie”. Tak pisał o swojej i mojej ziemi Adam Mickiewicz, gdy Oszmiana była powiatem. Wydaje się, że sąsiedni Wołożyn i po stu latach był takim samym, małym żydowskim miasteczkiem, tyle że powiatowym. Dopiero zaczęła się w nim zaznaczać obecność małej grupy kupców, jak ich wówczas określano – „chrześcijańskich”. Pojawili się też napływowi urzędnicy starostwa i magistratu, dla których zbudowano luksusową kolonię, gdzie żyli w kompletnej izolacji. Stał pułk KOP-u, też zamknięty w swoich koszarach. Okoliczne miasteczka – Oszmiana, Holszany, Wiśniewo, Nowogródek, Smorgonie, Mołodeczno, niewiele różniły się od Wołożyna, w którym jak mówiono, był „jeden hotel ale Brudny, jeden Polak ale Żyd i jeden Żyd ale Polak”¹.

Coś jest w przekornym pytaniu Tadeusza Konwickiego: „A urodzić się w Nowogródku to nie groteska?” Jed-

¹ Brudny to było nazwisko Żyda, właściciela hotelu, Polak to nazwisko Żyda, właściciela elektrowni, a Żydek to nazwisko Polaka, właściciela cukierni.

nakże i on zauważa, że właśnie ta część wielonarodowej Rzeczypospolitej była z przedziwnych powodów ziemią rodzącą oryginały i indywidualistów. Czy mógł nie być oryginałem największy polski poeta, „Mitkin syn”, i to chyba z matki Żydówki? Konwicki sądzi jednak, że owo zindywidualnienie wynikało z „...rozzredzenia. Ludzie, mieszkając daleko od siebie, nie mogli ocierać się o siebie i wyrabiać jak kamienie młyńskie”. Podejrzewa nawet „tajemniczość naturalną” – wpływ złóż uranu. „Kiedy tam jadę, od razu czuję, że coś jest inaczej, jakby ktoś przesunął o setną część kolory na barwnej ilustracji”².

Nie chodzi tu o nieskromne porównania, ale warto zauważyć, że z tych puszczańskich, jałowych i zaniedbanych gospodarczo bezdroży pochodziło wyjątkowo wiele znanych postaci i to z obydwu dominujących narodowości – polskiej i żydowskiej. Wymienię tylko kilku z nich: Józef Piłsudski, Czesław Miłosz, Golda Meir, Melchior Wańkowicz, Cat-Mackiewicz i wspomniany już Adam Mickiewicz. Na pobliskim folwarku urodził się Feliks Dzierżyński, a dom, w którym mieszkałem, należał do rodziny Szymona Pereza. Tadeusz Konwicki we wspomnianych wyżej wyznaniach dodaje, że mieszkańców tych ziem cechowała ponadto przedziwna mieszanina serdeczności i obłudy oraz niezwywalny rys prowincjonalności. Być może warto o tym pamiętać, czytając moją autobiografię.

W tym Wołożynie mieszkałem do czwartej godziny nad ranem 13 kwietnia 1940 roku. Zostałem wówczas wyrwany siłą z mojego domu. Bez żadnej fazy przejściowej przestałem być małym Kaziem. Pod poduszką został niedoczytany *Król nafty*. Od tej chwili zaczęła się dorosłość, realna walka o życie, w której to, co dotychczas było ważne,

² S. Nowicki, *Pół wieku czyśćca: rozmowy z Tadeuszem Konwickim*, Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990.

nie było już brane pod uwagę. Następną powieść po polsku przeczytałem w maju 1946 roku. Owinięty w kurtynę sali widowiskowej Związku Patriotów Polskich w Moskwie, pochłaniałem *Potop*. Dał mi go przedwojenny tenor, Żyd, który nieco bał się wracać do Polski. Uszczęśliwiony, spijałem go co wieczór do nieprzytomności.

Dodam, że przez dziesięciolecia, nieustannie wracałem w moich snach do Wołożyna. Stało się to z czasem zmoreną pojawiającą się w łagodnych i w makabrycznych wersjach. Utrudniało mi to synchronizację z rzeczywistością. Dopiero w 1979 roku dotarłem do Wołożyna realnie, przy okazji wykładów w Uniwersytecie Wileńskim. Nie mogłem jednak wysiąść z samochodu na dłużej niż kilka minut, gdyż ogromną lawiną, polami, lasami, a także wszystkimi ulicami miasteczka, waliła Armia Czerwona zaniepokojona wizytą Ojca Świętego w Polsce.

Znowu ta sama Armia, na tych samych ulicach.

Od tego dnia, nigdy już Wołożyn mi się nie śnił. Oznacza to, że dopiero po 39 latach wyjechałem z niego ostatecznie i teraz dobrze rozumiem, na czym polega postulat psychoanalizy – przeżycia czegoś do końca³.

O przeżyciu i umieraniu

Moja Mama miała wadę serca. Mówiła i ruszała się bardzo spokojnie. Nie wolno jej było się denerwować. Zakazany był wysiłek fizyczny; lekarze zabronili urodzenia dziecka. Gdy miała 30 lat, zdecydowała się być matką lub

³ O podobnie uporczywie powracających snach i ich zniknięciu po powrocie do miejsca w nich odtwarzanego, słyszałem kilkakrotnie. Znany niemiecki laryngolog prof. Peter Platt opowiadał mi, że śnił mu się natrętnie most toruński, po którym uciekał jako dziecko w 1945 roku. Te męczące sny zniknęły po realnym przejściu przez ten most w latach 80.

umrzeć. Pomógł przeżyć obydwójgu nam mój dziadek wujeczny – Kazimierz Topczewski, znakomity pediatra i społecznik, który w tym celu przyjechał ze Stanisławowa.

Narodziłem się za szybko, w siódmym miesiącu ciąży, jakiś brzydki, cherlawy, koloru marchewki – „Marchewką” też nazywany. Nadanie mi imion Kazimierz Michał nie miało wielkiego znaczenia, gdyż zakładano, że szybko umrę.

Od tej pory wielokrotnie miałem kłopoty z przeżyciem. Jako maluch najadłem się gazet⁴ i zapchałem kiszki – stan był beznadziejny. Uratowały mnie kartofle, których nie pożałowano umierającemu i które przepchały jelita. Jako sześciolatek spadłem z kładki do strugi, ale baba piorąca bieliznę zobaczyła mnie na dnie i wyciągnęła grabiami. Już jako podrostek byłem uznany przez lekarza za na tyle umarłego, że spisał protokół zgonu. Poza tym zabijano mnie nożem i z rewolweru, topiłem się jeszcze raz, zamarałem w *buranie*⁵, umierałem z głodu i pragnienia. Jako dorosły umierałem powoli na serce, a zegarynka pogotowia powtarzała do słuchawki bezlitosnie: „Proszę czekać. Proszę czekać...”.

Jak widać, temat przeżycia wyjątkowo często przewijał się na mojej drodze życiowej – zwłaszcza w pierwszej jej połowie. Może wyjaśnia to, dlaczego nigdy nie zdecydowałem się na samobójstwo. Zbyt trudno było przeżyć, aby tak łatwo skończyć ze sobą.

Jestem oswojony ze śmiercią, naprawdę nie boję się jej, ale nie jest mi obojętna. W umieraniu ludzi będących koło mnie przejmowała mnie jej naturalność. Roz-

⁴ Prawdopodobnie w pokarmie brak było kobaltu – składnika farby drukarskiej. Do dziś pamiętam przyjemność, jaką sprawiał mi zapach świeżych gazet. Wyjadałem też z pieca popiół drzewny bogaty w potas. W owym czasie w Wołożynie opalano domy wyłącznie drzewem.

⁵ *Buran* – (ros.) kazachski śnieżny huragan, zamieć śnieżna.

mawiałem, walczyłem z ludźmi, byli moimi przyjaciółmi, wrogami, a nagle stawali się tylko bardzo ciężkim ciałem. I nic więcej? Za każdym razem było to zaskoczeniem. Stąd być może wynika coś, co określiłbym jako fascynację zjawiskiem śmierci. Czymś, czego istota prawie otwiera się przede mną, ale nie potrafię jej uchwycić. Może, jak wielu ludzi, oczekiwałem, że „coś powinno być jeszcze”. Może pozostało to z niedouświadomionych przeżyć wczesnego dzieciństwa, gdy traktowano mnie jako zjawisko bardzo przejściowe?

Sprawy to były zbyt serio, aby mogły prowadzić do lękowej metafizyki lub rozważań o „życiu po życiu”.

Mam do śmierci stosunek tak intymny, że po raz pierwszy napisałem o niej dopiero w wieku 61 lat, w *Człowieku intencjonalnym*.

Widziałem, czułem i wiedziałem, że śmierć to nie tylko strata, opanowanie przez nieznanne. Śmierć, gdy przychodzi łatwo i prosto, bywa też wyzwoleniem. Zwłaszcza taka śmierć jak zamrażanie podczas *buranu*. Miła, oczekiwana, dobra senność. Lub sekunda strzału w usta. Gdy czułem, że umieram na serce, patrzyłem w telewizor. Właśnie nadawano, świetny w tych latach, teatr telewizyjny „Kobra”. Puls spadał do 40, chwilami stawał. Mój niedotleniony mózg nie potrafił uchwycić wątku sztuki. Myślałem: „Głupio, to ostatnia Kobra, jaką oglądam i nie jestem w stanie nic zrozumieć”. Lekarz jednak zdążył nadjechać.

Rozwój psychiczny

„Nie przeżyje” – powtarzano przy każdej z moich licznych chorób dziecięcych, modyfikując w końcu opinię na: „Przeżyje, ale będzie karzelkiem opóźnionym umysłowo”. Później już była mowa tylko o „niedorozwoju umysłowym”, aż do dnia, gdy w czwartym roku życia nieoczekiwanie

zakląłem mocno po białorusku „Kab ty zdoch!”⁶ i zacząłem mówić od razu pełnymi zdaniami. W piątym roku już podkradałem książki, a w szóstym skierowano mnie w pośpiechu do szkoły.

Na swój sposób byłem jednak tępy. Miałem już za sobą lekturę obydwu tomów Tarzana, ale na żądanie szkoły ukrywano przede mną, jak się wymawia niektóre litery, a sam nie umiałem się tego domyśleć! Do dzisiaj pamiętam to uczucie frustracji. Nie byłem też w stanie opanować na pamięć tabliczki mnożenia i chyba nadal nie opanowałem jej dostatecznie. Znałem za to wiele szlagierów, czym chętnie popisywałem się, siedząc w oknie. Natomiast wysłany na lekcje skrzypiec nie nauczyłem się ani jednej nuty, co być może było winą zawsze pijanego kapelmistrza miejscowej orkiestry wojskowej.

Niewątpliwie byłem przykładem dysharmonijnego rozwoju intelektualnego. Trzymały się mnie wiersze. Znałem po rosyjsku fragmenty *Pieśni a wieszczem Aliegie* i kołysankę Puszkina, naiwne wiersze z czasów powstania styczniowego, dumki i kolędy ukraińskie, smętną białoruską pieśń *Oj ljatieli husi*. Ojciec lubił ze mną śpiewać *Pasała wołki na Bukowinie*, a Matka była dumna, gdy nauczyłem się *Hejże ojczy Atamanie*:

Hejże Ojczy Atamanie
Ukraina śpi w najlepsze
Wiatr gdzieś usnął na kurhanie
I wysechła woda w Dnieprze
A koń ledwo nogi wlecze
A człek żyje, a nie żyje
Życie płynie a nie ciecze
Gdzieś w limanie czajka gnije

⁶ Moja niania tymi słowami intensywnie przeganiała naszego kota, który z jakichś powodów bardzo jej przeszkadzał.

Był to hymn jej drużyny harcerskiej założonej w 1911 roku w Humaniu.

Możliwość istnienia w moim domu tej przedziwnej mieszanki – polskiej, rosyjskiej, białoruskiej, ukraińskiej – to najpiękniejszy wyraz naszej zaprzeszłej kultury Kresów wschodnich. Wątpię zresztą, czy wówczas istniała kultura polska pozbawiona tych swoich „niepolskich” składników. Przecież nigdy nie kształtowała się ona osobno. Nie żyliśmy w górskiej dolinie, odseparowanej od innych dolin. Żyliśmy jako Polacy nad rzeką historii, pełną wirów i porohów, wciąż zmieniającą nurt. To, co osadzało się na dnice jej spokojniejszych zakoli, było tym, co najcięższe – złotem, już oddzielonym od żwiru i śmieci. Takim zakolem była Wileńszczyzna.

Rodzice i wychowanie

Moi Rodzice pochodzili z Podola. Mama – Julia Janina Obuchowska, ukończyła Gimnazjum imienia Księżnej Jewdokii Suzdalskiej w Humaniu. Była już w swoim życiu telegrafistką i sanitariuszką wojskową. Ojciec, Bogumił Nicet Panasiuk pochodził z kozaków, był carskim oficerem, następnie zesłańcem, telegrafistą, nauczycielem gimnastyki i polskim oficerem, dowódcą strażnicy KOP-u do 1927 roku. Rodzice osiedlili się w tymże roku w Wołożynie i założyli Księgarnię oraz Wypożyczalnię Książek. Wokół Wołożyna osadnikami byli żołnierze z kompanii Ojca⁷.

⁷ Oni pierwsi zostali z tych terenów zesłani w tzw. „pierwszym” transporcie. Wywożono ich z całymi rodzinami już w lutym 1940 roku. Był straszny mróz. Pamiętam, że sanie ze znajomymi zatrzymywały się pod naszym oknem, a Mama, jak się dało najszybciej, ściągała z podłóg dywany, żeby mogli się nimi okryć. Wtedy nie wiedzieliśmy, że za dwa miesiące czeka nas to samo. Tyle, że było cieplej.

Rodzice dużo działali społecznie. Mama opiekowała się sierocińcami, zakładała i wyposażała przedszkola na odległych, czarnych, białoruskich wsiach. Nieraz brała mnie ze sobą. Bryczka długie godziny meła piasek zakopana niemal po osie. Ściana ogromnego, ciemnego lasu przesuwiała się powoli i bez końca. Rozstępowała się tylko na chwilę, gdy bryczka wjeżdżała na aromatyczną, świetlistą polanę. We wsi Mama rozmawiała z kobietami, a ja siedziałem przed wieżą blinów, maczałem je w śmietanie i patrzyłem na czarne od brzęczących much okienka chaty. Ludzie tutaj budzili smutek. Wytchnieniem były złociste zaścianki, białe dworki. Tam, na werandzie jadłem kruche, pachnące świeżością ogórki maczane w odurzającym lipcowym miodzie lub zimne płaty kwaśnego mleka, mocno obsypane ziołami i jedzone łyżką z płaskiego talerza.

W rocznicę Powstania Styczniowego Mama nakładała żałobę. Na stół wyjmowano czarne wstążki, czarną biżuterię, fotografie, odznaki. Mama śpiewała stare pieśni, recytowała wiersze:

Wyście mą siostrę, lilijkę białą
skryli w koszarach, mój Boże!
Z praojców skiby cóż pozostało,
Brodaty kacap je orze.

Ojciec, nazywany „panem porucznikiem”, był szczupły, zręczny, dosyć ostry w stosunkach z ludźmi, też dużo działał społecznie, uwielbiał nowinki techniczne i mniej istniał w domu niż Mama. Lubił podróże, przywoził z nich wspaniałe aparaty radiowe, szybkovary, niezwykle elektryczne zabawki. W dni świąt narodowych nakładał galowy, wyorderowany mundur z żółtymi lampasami, ze srebrnym pasem i szablą. Lubiłem jego opowiadania z Kamczatki, gdzie budował pierwszą linię telefoniczną, historie o wilkach i niedźwiedziach. Było mi pod ciepłą koldrą dobrze i strasznie. Oglądałem z dumą jego liczne blizny. Seria z ka-

rabinu maszynowego przeorała go od prawego ramienia do lewego uda.

W 1937 roku Ojciec przeczytał *Mein Kampf* i zaczął szykować nas do wojny. Specjalnie wyposażył piwnicę – każdy miał maskę przeciwgazową, stały skrzynie z sucharami, wisiały plecaki z ciepłą, solidną odzieżą. Nauczył ośmiolatka strzelania z colta. Przydało się to bardzo szybko, jakkolwiek nie było bezpieczne. Do tej pory mam szramę na palcu – pamiątkę po zabawie w przekręcanie bębenka.

Ojciec w 1939 roku miał 47 lat, poszedł na wojnę na ochotnika. Przydzielono mu, jako starszemu i inwalidzie, stanowisko dowódcy kompanii wartowniczej twierdzy w Grodnie i w ten sposób niespodziewanie znalazł się na pierwszej linii frontu. Walki tam były zaciekle. Krążyła historia o sowieckim czołgu, do którego przywiązany był obnażony polski harcerz. Gdy sytuacja była już beznadziejna, ojciec wyprowadził swój oddział do lasów. Nie wiem dokładnie, co tam robił. W listopadzie wrócił po kryjomu do domu zobaczyć się z nami. Po paru godzinach został aresztowany. Chyba ktoś go jednak dojrzał. Zanim nas zesłano, nadsyłał listy z Kozielska. Nie wiem, czy wszystko szło pocztą, bo w lutym zawiadomił nas, że nie ma już butów i owija nogi kalesonami. Ktoś kiedyś mówił o nim, że próbował ucieczki z Kozielska. Może to były moje oczekiwania.

Rodzice, a zwłaszcza Ojciec, nie uznawali nieudacznictwa. „Chcieć to móc” było regułą, którą wbijano mi fizycznie. Niezwykle duże wymagania stawiali raz danemu słowu, umowie. Byli bardzo religijnymi katolikami, ale stosowane przez nich metody wychowania przypominają mi raczej rygory purytańskie, nieporównywalne do bardzo łagodnego stylu wychowywania moich żydowskich sąsiadów.

Najszczęstsze poczucie winy, czy odpuszczenie grzechów przez księdza, w najmniejszym stopniu nie zwalniały od kary i konieczności naprawy szkody. Byłem z tego dum-

ny. Nigdy też nie kłamałem i nigdy mnie nie okłamywano. Gdy nie chciałem na obiad jeść zupy, nikt mnie do jedzenia nie namawiał. Mogłem podziękować i wstać od stołu. Nie było już dla mnie drugiego dania ani leguminy. Tę samą zupę dostawałem na kolację i byłem zawsze na tyle głodny, aby ją zjeść. Deser przepadał. Podkreślam ten fakt, gdyż miałem zawsze niesamowity apetyt. Byłem nie tylko ruchliwym i „wszędzie włączającym” dzieckiem, ale i dosyć otyłym pulpetem z kolanami w „X”.

Gdy coś zepsułem, musiałem to naprawić lub pokryć równowartość z innych moich zasobów. Nigdy natomiast nie robiono mi wymówek. Gdy chciałem przy obiedzie jeść, czytając jednocześnie książkę, słyszałem tylko rutynowe: „Gdy będziesz czytał przy jedzeniu, twoja żona będzie miała głupiego męża”. Jeśli zaczytałem się i nie zdążyłem zjeść mojego dania, służąca zabierała je sprzed nosa, co było swoistym rodzajem skinnerowskiego warunkowania. Mówiłem „merci”, gdyż formy grzecznościowe obowiązywały po francusku, całowałem Mamusię, Tatusia i pozwalano mi iść do swoich spraw.

Mogłem tłuc się z chłopakami z Zarzecza, mieć rozbity nos, chodzić na dalekie wyprawy na sanki, o ile odrobiłem lekcje domowe. Gdy nie umiałem sobie z nimi poradzić, mogłem siedzieć przy biurku Ojca do późnej nocy. To była jedyna forma pomocy.

Miałem więc znaczną swobodę, szanse podejmowania decyzji, dokonywania własnego wyboru, ale też nieuchronnie ponosiłem konsekwencje własnych błędów. Nikt nie oczekiwał ode mnie usprawiedliwień, nikt się też przede mną nie usprawiedliwiał. Wiedziałem, że obowiązkiem mężczyzny jest działanie, a nie poniżanie się tłumaczeniem. Konsekwencje wyników działania zależą od warunków umowy i honoru. Gdy chciałem podjąć ryzykowną decyzję, byłem informowany o tym, co nastąpi, gdyby się nie udało. Mogłem wycofać się i działania nie podjąć. Oczywiście by-

łoby to powodem do wstydu. Miałem jednak zawsze wybór. Były takie sytuacje, w których, jak obecnie sądzę, Rodzice powinni byli mi po prostu zabronić działania, gdyż kary stosowano ostre, a szanse powodzenia miałem minimalne. Mimo dosyć częstych kar, byłem bardzo dumny z układu, który uważałem za partnerski i bardzo sprawiedliwy. Moi chrześcijańscy koledzy byli po prostu mocno bici w każdą sobotę za wszystko i na zapas.

Ten, dosyć ryzykowny, sposób wychowania spowodował, że gdy nadeszły straszne dni, nigdy nie miałem poczucia krzywdy, które niszczyło morale i tym samym życie moich kolegów i ich rodziców. Dla mnie to były wyzwania, miałem tylko stawić im czoła, a gdybym nie umiał, to dlatego, że nie byłem wystarczająco zdecydowany. Brak umiejętności nie uzasadniał niepowodzenia. Sprawa jest zawsze w moich i tylko w moich rękach. Nie wolno mi liczyć na niczyją pomoc ani na przypadek. Przegrana oznacza, że trzeba podjąć działania od nowa, intensywniej, może inaczej. W każdym razie nie jest ona powodem do rezygnacji z celu.

Powinienem dodać, że ta uproszczona, ale skuteczna w dłuższym dystansie ideologia działania, była sumą doświadczeń kolejnych pokoleń zesłańców syberyjskich. Prapradziadek i Pradziadek byli na zesłaniu. Prapradziadka (nie znam imienia) – za udział w Powstaniu Listopadowym zesłano w żołdacy na Kaukaz. Pradziadka Jana Obuchowskiego, za Powstanie Styczniowe zesłano w 26 roku życia na Syberię Zachodnią, do Maryjskiego Kraju, „na wodworenije”, co łączyło się z konfiskatą majątku rodzinnego położonego w pobliżu Humania i pozbawieniem szlachectwa. Jan Obuchowski po powrocie z zesłania został zarządcą w majątku Cybulówka. Słynął ze znacznego wzrostu i niezwykłej siły. Obuchowo znalazło się od Powstania Styczniowego w obcych rękach. o dziadku nie mam informacji, o krewnych ze strony Ojca nic nie wiem.

Niewiele znam szczegółów. Mam tylko ostatni list, który moja Babcia po kądzieli przysłała w 1932 roku z Winnicy na Podolu. Na kartce wyrwanej z zeszytu, napisała ołówkiem: „...cierpiałam nędzę i głód, już sił nie mam dalej się męczyć. Całuję was serdecznie, niech was Pan Bóg wspiera i błogosławi”. Miała wówczas 50 lat. W roku tym na Ukrainie, głodząc, zamordowano dziewięć milionów ludzi. Nazywa się to „Gołodomor”⁸, a my nic o tym wówczas nie wiedzieliśmy.

W mojej szkole byłem wdrażany do posłuszeństwa, sprawności w czytaniu, pisaniu i liczeniu, patriotyzmu hasłowego i formuł religijnych. To wszystko. W szkole dowiedziałem się tylko o tym, co było użyteczne dla kierowania mną, ale niczego, co ważne dla mnie. Myślenie własne, wyobrażenia, były poza wymaganiami szkoły, a nawet jej przeszkadzały. To, że moja wiara i patriotyzm nie były całkiem prymitywne, wynikało z rzetelnej religijności i zdecydowanych zasad życiowych moich Rodziców. Dzień ich spowiedzi i komunii był niezwykle uroczysty. Mówiło się innym głosem i tylko na poważne tematy.

Również święta narodowe były obchodzone bardzo uroczystie. Rodzice, elegancko ubrani, szli na spacer. Wie-

⁸ Nazywa się to w oryginale „hołodomor”. Poza Ukrainą zagłodzenia milionów ludzi dokonano i w innych miejscach – w Kazachstanie i na Powołżu. Toczy się spór historyczny o to, czy celem było ludobójstwo czy polityka, a więc wprowadzanie gospodarki kołchozowej. Założenie, że łatwiej będzie utworzyć kołchozy po wymordowaniu ich potencjalnych członków, jest co najmniej dziwne. Problem staje się jaśniejszy, gdy wziąć pod uwagę krwawe wojny z chłopami prowadzone pod koniec lat dwudziestych przez (zamordowanych później) słynnych marszałków, takich jak Blucher lub Tuchaczewski. Głodzenie mogło być kontynuacją tych wojen – skuteczną i „ekonomicznie korzystniejszą”. Po rekwizycji wszystkiego, co nadawało się do jedzenia, wojsko otaczało wsie, ich mieszkańcy po jakimś czasie zaczęli krzyknąć z głodu. Gdy nastąpiła cisza, przyjeżdżały furmanki i zwłoki wywożono. Tych nielicznych, którzy utrzymali się przy życiu, gdyż żywili się zwłokami – sądzono i wysyłano do łagru.

czorem opowiadali mi o bohaterstwie, o przelanej krwi, o tym, jak trzeba było bronić Kresów przed nieustannie atakującymi sowieckimi bandami. Mówiono też o mądrości politycznej. Tak się jednak złożyło, że najlepiej zapamiętałem opowiadanie Mamusi, nie o żadnym z naszych bohaterów, ale o Mussolinim. Był on bardzo mądry i kochał swój naród. Aby mu ulżyć, osuszył mokradła pontyjskie. Zniknęły liczne choroby, a ludzie zyskali żywność i pracę. Znałem wielu bezrobotnych, stąd też umiałem go docenić. Ani mnie, ani mojej Mamie nie kojarzył się on wtedy z Hitlerem.

Mówiono też o politycznej głupocie. Ojciec z oburzeniem komentował fotografię Rydza-Śmigłego na tle popiersia Napoleona. Nie mogłem nie kochać „Dziadka”, ale Rydza-Śmigłego już nigdy nie polubiłem.

Mama nie wytrzymała warunków zsyłki i zmarła nagle w 1943 roku, a Ojca zastrzelono w 1940 roku w mordowni KGB w lesie Katyńskim.

Żydzi i Białorusini

Kto urodził się w Wołożynie, nie może pominąć w swojej biografii problemu Żydów. Mieszkało ich tam około pięciu tysięcy. Z pamięcią o nich pozostało mi poczucie czegoś niedokończonego, żal za czymś, czego nie da się już dopowiedzieć. Z przemówienia Szymona Peresa w Senacie RP wiem, że Żydzi wołożyńscy zostali spaleni przez Niemców żywcem w swojej Synagodze. Oznacza to, że nagle przestali istnieć. Zabrali ze sobą świat, w którym, jak obce ciała, tkwiła moja rodzina i kilkuset pozostałych chrześcijan. Żyliśmy w różnych światach. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo realistyczne są obrazy Marca Chagalla. Po latach, w Lenigradzie zobaczyłem w „Astorii” tańczących, starych Żydów, z palcami wsuniętymi wysoko za ka-

mizelkę; przechyleni mocno do tyłu wyrzucali nogi przed siebie. Oczy przymknięte, twarze skupione w ekstazie. Nie byłbym zdziwiony, gdyby kolejno tak wygięci, płynnie zaczęli ulatywać pod mroczny sufit. Widziałem wówczas pod powiekami parterowe, niskie domki Wołożyna z obszernymi podwórzami otoczonymi wysokim płotem, drabiny na dachach, nierówne kocie łby głównej ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tam mieszkaliśmy, przy naszym sklepie, koło Rynku. Wszyscy sąsiedzi byli Żydami. Nasi polscy znajomi mieszkali na peryferiach. Z tego co wiem, samo założenie księgarni i zamieszkanie przez nas w tym miejscu nie było łatwe. Był to pierwszy nieżydowski „interes”. Wybijano nam szyby, stwarzano różne inne kłopoty. Dlatego pierwsze lata mieszkaliśmy w pobliskiej wsi Kiewielewiczce. Mój Ojciec, jako prezes Związku Kupców Chrześcijańskich i Związku Inwalidów Wojennych, sprowadzał do Wołożyna swoich znajomych i już po kilku latach istniała polska cukiernia, działały sklepy spółdzielcze. Jednakże nie rywalizacja Rodziców – zrozumiała skądinąd – była tym, co stopniowo i coraz bardziej dzieliło mnie od moich rówieśników z sąsiedztwa. Jako małe dzieci bawiliśmy się razem, mieliśmy wspólne podwórze ze studnią i ubikacjami oraz wspólną bramę na ulicę Berka Joselewicza. Odwiedzaliśmy się wzajemnie – czułem się u nich jak u siebie. Stan ten skończył się z chwilą pójścia do szkoły. Podzielił nas skrajnie różny styl życia, inne zainteresowania i chyba dopiero na końcu – język. Mieliśmy również inny stosunek do agresji, do walki. Żydzi byli łagodni, ich dzieci niekarane, pracowite, posłuszne, wcześniej zasiadały do poważnych lektur i poświęcały im znacznie więcej czasu i uwagi niż dzieci chrześcijańskie. Byłem wprawdzie wcześniej od innych rozbudzony intelektualnie, wiele rozumiałem z polityki, ale moimi lekturami były głównie książki przygodowe: *Jeździec bez głowy*, *Duch puszczy*, *Księga dżungli*. Czytałem historie opowiadające, ilustrujące: o wyprawie Czeluski, Nansenie, Umberto Nobile, o podmorskich wyprawach

batyskafu, o ludach pierwotnych. Imponował mi dzielny radiotelegrafista Krenkel z Czeluskina i nie przeszkadzało mi to, że był „sowieciem”. Bohaterowie książek budzili zachwyty lub grozę, byli wzorem, pobudzali fantazję, marzenia o wielkim, trudnym życiu, o bohaterstwie, samozaparciu w imię czegoś.

Podsuwano mi też lektury o treści „wychowawczej”, ilustrujące dwie prawdy. Pierwszą, że zawsze za posłuszeństwo jest nagroda. Drugą, że modlitwa, zwłaszcza czyjaś za kogoś, zawsze prowadzi do powodzenia w najgorszych nawet opałach. Dlaczego? Bo tak jest. Tu nie ma nic do rozumienia i tym bardziej do dyskusowania. Mojsze z naszego podwórza nic o moich lekturach nie wiedział, a ja nie wiedziałem nic o jego książkach.

Moi żydowscy koledzy czytali na głos przez długie godziny, uczyli się ogromnych tekstów na pamięć, ale i dyskutowali nad nimi między sobą, spierali się. Wydawało mi się śmieszne, że można mieć różne zdania na temat treści tej samej książki. Znałem tylko wyuczenie się i odtworzenie wiedzy. Muszę teraz stwierdzić, że nie przychodziło mi nawet do głowy, że mógłbym zrozumieć coś z tego, co ich pasjonowało, że mógłbym coś chcieć z tego zrozumieć. I to była prawda.

Może dlatego ani nie rozumiałem, ani nie starałem się ich zrozumieć, ponieważ dla nas to my byliśmy standardem, od którego odliczaliśmy normalność. Inni byli śmieszni, dziwni, głupi, wzbudzali pogardę. Stąd też wyrastał bezsensowny i niekonsekwentny antysemityzm. Poszczególnych Żydów, tych z którymi mieliśmy do czynienia, traktowaliśmy po prostu jako znajomych i sąsiadów. Pozytywnie ocenialiśmy wiele ich cech, jak uczciwość handlową, pracowitość, zaradność, dobroć, łagodność. Gdy Mama kupowała futro na Zaułku Bernardyńskim w Wilnie, to tylko „od Żyda, bo nie oszuka”. Nie lubiliśmy jednak Żydów „jako takich” i nie sądzę, że oni powinni byli nas lubić. Działy tu także wątki polityczne.

Polaków (mówiło się „chrześcijan”), w ogóle nie interesowała kultura ich sąsiadów o innej narodowości. Nie warto było się nimi interesować, gdyż inni koło nas są tylko dewiacją, albo są „niedopolaczeni”. Inne kultury uznawaliśmy za normalne, gdy dotyczyły ludów odległych. Więcej wiedziałem o wierzeniach Indian lub Hindusów, niż o religii sąsiada z podwórka, który przecież zapraszał nas nieraz na kolację szabasową, przynosił macę. My korzystaliśmy z jego zaproszeń, ale na nasze święta nie zapraszaliśmy.

Mieszkałem blisko Synagogi, ale dopiero w Paryżu, w latach 80. dowiedziałem się od prof. Leona Chertoka, że w Wołożynie była jedna z najświetniejszych na świecie uczelni żydowskich. Potwierdził to w 2008 roku Prezydent Izraela Szymon Peres w swoim przemówieniu w Senacie RP: „Człowiekiem, który odcisnął głębokie piętno na moim dzieciństwie, był mój dziadek – oby spoczywał w spokoju, rebe Cwi Melzer. Studiował w jesziwie w Wołożynie, najbardziej znanej jesziwie w świecie żydowskim. Dzielił w niej ławkę z Chaimem Nachmanem Bialikiem, naszym narodowym poetą. Pomimo mojego młodego wieku dziadek uczył mnie Talmudu, polecił mi też czytać Tolstoja i Dostojewskiego. Z Talmudu dowiedziałem się, że nie ma dróg na skróty, podczas gdy „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego odebrała mojej młodej duszy spokój. Zarówno zbrodnia, jak i kara niepokoiły mnie bezustannie”.

Dodam tu, że ja i moi żydowscy rówieśnicy żyliśmy obok siebie nie tylko w odrębnych kulturach, ale i z poczuciem, że tylko nasza kultura jest „ludzka” i „naturalna”. Uważaliśmy za oczywiste, że gdy ktoś chciał dołączyć do nas, mówił po polsku, chodził tak jak my ubrany, a nawet zostawał katolikiem. Natomiast i dla Polaków, i dla Żydów byłoby bardzo dziwne, gdyby stało się odwrotnie.

Natomiast moi koledzy Białorusini po prostu nie mieli dla mnie żadnej narodowości. Byli prawosławni i bardzo biedni. Często nie było ich stać na stalówkę i pisali w kla-

sie zaostrzoną gałązką wierzby. Wiedziałem, że Białorusin, który chciał otrzymać posadę państwową, mieć lepsze życie, zostawał katolikiem i jednocześnie „pełnym Polakiem”. Tylko tyle. Ich język był dla mnie polską gwara, posługiwałem się nim bez trudności. Moją niańką była Białorusinka. Byłem zdziwiony, gdy podczas okupacji skierowano mnie do niższej klasy, gdyż szkoła stała się białoruska. Dopiero na zesłaniu, gdy pojawił się problem „paszportyzacji”, okazało się, że to jest narodowość i to bardzo odrębna. Niektórzy Polacy przyjęli wówczas narodowość białoruską lub ukraińską. Nie było im jednak lepiej, odwrotnie – stali się obcy dla wszystkich. Bliżsi nam byli „prawdziwi” Białorusini i Ukraińcy.

Nieuznawanie specyfiki kulturowej żyjących z nami narodowości było chyba powszechne i utrzymało się długo. Miało ono pewne uzasadnienie w tym, że na Kresach narodowość była często wynikiem wyboru. Historyk, prof. Włodzimierz Dworzaczek opowiadał mi, że w wielu rodzinach byli bracia, którzy należeli do trzech różnych narodowości. To była ich prywatna sprawa. Nie uzasadnia jednak lekceważenia. Gdy w 1979 roku wróciłem z wykładów w Wilnie i zachwyciłem się sztuką litewską, drogą Ciurlionisa, nową architekturą miasta, mój uczonej równoleciek oburzył się: „Jaką tam mogą mieć kulturę. To tylko kultura polska”. Tylko!

Okupacja sowiecka wiele nowego mnie nie nauczyła. Wszystko wiedziałem już wcześniej. Sowieci to prymitywni umysłowo, okrutni, biedni i zacofani „inni”. Znałem tylko jednego komunistę Polaka, nauczyciela rysunków. Ale zaraz po rozpoczęciu sowieckiej okupacji aresztowano go na pierwszym wiecu, po tym, jak zerwał demonstracyjnie krawat, który podobno „dusił go od 20 lat”. Co najgłupsze – aresztowano go nie za zdjęcie krawatu! Nie był więc dla mnie pan J. „sowietem”, tylko głupkiem.

Nasze książki, ponad trzy tysiące tomów, spalono na wielkim stosie na podwórzu, przed domem. Mieszkanie zarekwirowano.

Zsyłka (1940-1946)

Trudny jest opis moich losów między kwietniem 1940, a majem 1946 roku. o wydarzeniach z tych lat mówię niechętnie. Mam, jak wielu innych sybiraków, poczucie, że treść przeżyć z tamtych miejsc jest nieprzekazywalna. Liczne, istniejące już opracowania, niewiele pomagają w uchwyceniu zjawiska „zsyłki”, gdyż chyba każdy „Inny Świat” tam był inny.

Zanim jednak przyszli po nas i zabrali z domu na zawsze, miało miejsce kilka zdarzeń, których w refleksji autobiograficznej nie chcę pominąć. A więc po pierwsze – nie czekaliśmy biernie na swój los. Moja Mama nie miała żadnych wątpliwości, co nas czeka. Około Bożego Narodzenia była zdecydowana na ucieczkę do Generalnej Guberni. Nagle dowiedziałem się, że nasza piękna choinka będzie rozebrana i opuścimy nasze mieszkanie. Pamiętam, że wpadłem w histerię i nie chciałem się zgodzić na wyjazd. Zacząłem bić swoim paskiem znajomą, która przyszła zabrać niektóre nasze rzeczy, płakałem i krzyczałem.

Po kilku dniach nałożono mi jednak plecak-worek i byliśmy gotowi do wyjścia. Była ostra, mroźna zima. Czeakało nas wiele kilometrów marszu i przejście brodem przez Berezynę. Byli umówieni jacyś przewodnicy. Wiedzieliśmy, że wyprawa jest niebezpieczna. O przebiegu dalszych zdarzeń zadecydował jednak stan serca mojej Mamy. Nagle na

podwórzu zemdląła i upadła. Przyszedł lekarz. Nie wiem, co powiedział, ale okazało się, że musimy z naszych planów zrezygnować. Zostaliśmy na kilka kolejnych miesięcy w domu.

Drugim zdarzeniem był mój sen z tamtych dni. W życiu miałem wiele snów, a pamiętam tylko trzy. Są kolorowe i kiedy je wspominam, nazywam filmami. Jeden z tych trzech snów wydarzył mi się w szpitalu w Majkainie, gdy umarła moja Mama. Nie pamiętam szczegółów obrazu, ale pamiętam, że z wysokiego lotu oglądałem pogrzeb Mamy. Gdy sen opowiedziałem pielęgniarce, były bardzo przejęte. Po roku dowiedziałem się, że to, co opisałem, było bardzo prawdziwe.

Natomiast ten sen, o którym chcę teraz powiedzieć, miałem w przeddzień wywiezienia nas na zsyłkę. Minęło od tego czasu prawie 70 lat, a pamiętam każdy szczegół, kolory, drobiazgi. Jako zawodowy psycholog nie mam żadnych podstaw do tego, aby wierzyć w prorocze sny. Widzę go jednak tak, jakby wydarzył się wczoraj. Ogromna małpa, która kojarzy mi się z King-Kongiem⁹ porwała mnie i niosła na łapach po wielkich, stromych schodach, które wznosiły się nad białym, ośnieżonym polem. W pewnej chwili schody sięgnęły ponad kłębiące się czarne chmury. Małpa szła wyżej, aż doszła do końca schodów. Gdy schody się skończyły, obydwójce spadliśmy w dół. Lot był długi, leżałem na jej kudłatych piersiach, czując pęd. Małpa spadła na plecy i wiedziałem, że już nie żyje, a ja jestem cały i bezpiecznie leżę na jej ogromnym cielsku. Pamiętam barwę sierści i wyszczerzone zęby czarnego martwego pyska.

⁹ Widziałem ten film przed wybuchem wojny w Wołożynie, w kinie Mars.